

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odosobnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 $\frac{1}{2}$ mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 2) m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 37 z dnia 15 września 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na Życie

„L'URBAINE”

Ułgi na wyp. niezd. do pracy
Filia dla Kr. P. Marszałk. 136

9967 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 45.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Jana Majorkiewiczza (1820 -- 1847)

Życiorys wydany w 70 letnią rocznicę śmierci znajduje się na składzie, księgarnia Gebethnera i Wolffa, egzemplarz w opr. Mk. 2. 10379

Machiavel i machiavelizm.

Z nazwiskiem Macchiavelli'ego łączy się zwykle pojęcie przewrotności, podstępny, obłudny, a nawet okrucieństwa w polityce. A jednakże jego słynny traktat „O księciu” był i jest nie bez słuszności uważany za kanon mądrości politycznej

Znamiennem jest ukazanie się przekładu polskiego tej brzemiennej treści książki w dzisiejszej dobie, gdy wśród klęsk i wstrząszeń wykluwa się powoli, mozolnie i ciężko polityczny ustrój przyszej niepodległej Polski. Traktat Macchiavelli'ego, chociaż drażni a niekiedy oburza do żywego nasze poczucie moralne, chociaż w pewnych razach uświęca podstęp i przemoc w stosunkach międzynarodowych, nosi jednak na sobie piętno genialnego politycznego rozumu i przeniknięcia tajnych sprężyn działania, opartego na odwiecznych instynktach ludzkiej natury. Dla nas, tak bardzo skłonnych ze szkodą własną do polityki uczuciowej, do polityki niecierpliwości, a nawet histerycznie rozigranych nerwów, — gorzką ale zbawienną naukę podają niektóre stronicy traktatu, wykazuje bowiem, jak w niesłychanie trudnej sztuce rządzenia i budowania podwalin państwowości górować powinien trzeźwy rozum, wolny od złudzeń, opierający pracę twórczą oraz czyn społeczno-polityczny na trafnej ocenie danej sytuacji, na poczuciu własnej siły i rozumieniu ra-

cji stanu, która w polityce była dotąd zasadą rozstrzygającą.

Macchiavelli nie stwarzał bynajmniej swych zasad i wskazówek. Jego umysł działał jak soczewka, skupiająca rozproszone promienie. Zasady rządzenia, które on ujął i skodyfikował z niesłychaną precyzją, tkwiły w logice politycznych wypadków, w jego czasach działając głęboko lubo niezawsze pochwytne dla powierzchownych spostrzegaczy.

W doskonałej przedmowie do przekładu „Księcia” p. Wincenty Rzymowski słusznie zaznacza, że wszystko, co w tym traktacie jest przewrotnem i nieuczciwem, wynika nietyle z natury umysłu autora, ile atmosfery moralnej i układu stosunków danej epoki. Dzięki nowemu obudzeniu sił rasowych po średnio-wiecznej ascezie, epoka, ta łączyła bujną twórczość i żywiołowość popełdów oraz namiętności ludzkich z egoizmem, przewrotnością, ale także w dziedzinie politycznej z niepospolitym rozumem i darem dyplomatycznym wielu działaczy. Rozum stanu skojarzony z chytryością i sztuką dyplomacji wykształcił się we Włoszech, osłabionych wprawdzie przez spory i rywalizacje małych państw i państewek, jednakże na progu epoki nowożytnej rozpoczynających proces konsolidacji narodowej.

Chociaż z przekonania republikanin i patriota florencki, kończy swój traktat Macchiavelli pięknym, gorącym wezwaniem do oswobodzenia ojczyzny od cudzoziemskich „barbarzyńców”. Wzdycha tęsknie do tej chwili, gdy Włochy ujrzą wreszcie „swego odkupiciela!” Dzieła tego w owej epoce mógłby dokonać tylko władca silny, rozumny, ale w dążeniu do swego celu nie przebijający w środkach. Sprawa zbawienia ojczyzny, według autora traktatu, uświęca nieraz czyny okrutne, działanie złe, nawet niegodziwe. W polityce może być w razie potrzeby po-deptany kodeks zwykłej moralności. Bezprawia i zbrodnie, na które spada miecz karzącej sprawiedliwości w stosunkach prywatnych, obyczajowych i społecznych, znajdują swe rozumowe i praktyczne uzasadnienie w trudnej sztuce sprawowania rządów. Według Macchiavelli'ego, dzieła się to może nietylko dla dobra kraju, ale także dla ambicji osobistej władcy, dla jego wszechwładzy lub interesów dynastji. I to właśnie jest wysoco antypatycznym rysem jego poglądów, to ściągnęło na niego klątwy i potępienia wieków potomnych.

Dotychczas imperatyw racji stanu był regulatorem działań politycznych i międzynarodowych. Można jednak postawić pytanie: czy obecny kataklizm polityczny, czy ta olbrzymia katastrofa w życiu narodów wpłynie na przewartościowanie i zmianę tych zasad i prawd okrutnych, jak to wróżą politycy, wierzący w postęp i ulepszenie ludzkości? Czy gwałt, bezprawie, poniewierka praw jednostek i narodów będą nadal uważane jako narzędzie władzy, czy też z chaosu obecnego wyjdą wzmożone zasady praw człowieka, swobody ludów i szlachetnej demokracji, która nie wypowiedzi walki wyższym formom kultury i duchowego współżycia ludzkości?

Poglądy Macchiavelli'ego opierają się na twardej podstawie pesymistycznego pojęcia natury ludzkiej, z którego wynika sprzeczność rzeczywistości z zasadami etyki. „W ludziach naogół zle skłonności przeważają nad dobrami, ku dobremu zwracają się ludzie wtenczas, gdy muszą“ (str. 87). Dlatego też „między tem, co się dzieje na świecie, a tem, co się dzieć powinno, zachodzi tak wielka różnica, że ten, ktoby rzeczywistości zaniedbywał w imię ideału rzeczywistości, raczej zgubę własną by spowodował, niż poprawę losu“ (str. 54).

Ta przestroga do dziś dnia nie straciła swej mocy obowiązującej nie tylko dla idealistów i marzycieli, ale i dla radykalnych doktrynerów, którzy pragną odrazu przerobić świat i życie na swoje kopyto, wedle formuł, tak często niezgodnych z prawami natury i doświadczeniem wieków.

W sztuce rządzenia mądry władca, według autora traktatu, opierać się powinien nie tylko na czynnikach dodatnich, ale brać musi pod uwagę egoizm ludzki, żądze zysków i korzyści jednostek albo klas społecznych. Książę powinien dbać o miłość i dobrobyt ludu, popierać oświatę i sztuki piękne, — ale w pewnych wypadkach musi także budzić bojaźń i grozę w poddanych. Stąd też wynika potępiana później wielokrotnie zasada, że dla władcy pragnącego utrzymać się na tronie koniecznym jest „stosowanie nie tylko zasad dobrych ale i złych wedle okoliczności“ (str. 55). Decydującym względem jest w tej mierze utrzymanie władzy i siły państwa nawet kosztem wiarołomstwa, grozy i okrutnych prześladowań.

To jest ciemna strona poglądów i teorii Macchiavelli'ego, która sprawiła, że z jego imieniem łączono nie zawsze słusznie zgubną zasadę pogwałcenia wszelkich uczciwych działań w polityce. Tak zwany machiawelizm nie wypływa jednak z całości poglądów znakomitego statysty, ale jest skryształizowaniem niektórych przewrotnych i twardych sposobów postępowania, które usprawiedliwia autor koniecznością państwową.

Radzi on bowiem księciu, aby swą siłę opierał na władzy ludu, gdyż trudno jest dogodzić ambicjom i apetytom możnowładztwa (str. 34).

Wbrew tuzinkowym praktykom despotyzmu potępia system rządów, opierających się na sianiu niesnasek. Nie znał zapewne także autor „Księcia“ teorii wielu nowszych polityków i radykałów, którzy z zasady ucieka-

ją się do budzenia waśni i rozłamu między klasami jednego społeczeństwa. Do dziś dnia wielu krótkowidzów politycznych lubuje się w budzeniu i nienawiści klasowych i swarów narodowych, zapominając o tem, że twórczem uczuciem jest gorąca miłość ojczyzny, nie zaś nienawiść dla wrogów.

Dzisiejszym siewcom swarów stronnicych warto przypomnieć prawdę, zawartą w tych prostych słowach traktatu: „miasta wewnętrznie rozdarte łatwo się stają łupem napaśtnika“ (str. 77). Wszystkim zaś, którzy u nas sparaliżowali doniosłe dzieło utworzenia armii polskiej, marnując przyjazne sposobności, warto przytoczyć te słowa włoskiego statysty: „Zasadnicze fundamenty wszelkich państw nowych zarówno jak starych polegają na dobrych ustawach i dobrem wojsku, ponieważ dobre ustawy nie mogą istnieć bez należytej siły zbrojnej“ (str. 42). Godnymi również dzisiaj bliższej uwagi są słowa Macchiavelli'ego, potępiające tak umiłowaną przez kunktatorów zasadę neutralności, która w pewnych sytuacjach bywa — nijakością, bezwładem. „Neutralności nigdy nie żąda od ciebie ta strona, która ci dobrze życzy, neutralności zawsze się domaga od ciebie twój wróg. Na drodze neutralną wstępują zwykle książęta, którym izbywa na stanowczości, i zazwyczaj znajdują na tej drodze zgubę“. Wymowną argumentacją popiera autor zasadę, że państwa i ludy zainteresowane w wojnie powinny stanąć wyraźnie po jednej stronie, *choćby nawet zwyciężonej*. Takie postępowanie wyjaśnia sytuację, tworzy siłę militarną i polityczną. Intuicją polskiego honoru wojskowego odczuł wartość tej zasady książę Józef Poniatowski, trwając do ostatka przy Napoleonie. Dlatego też wojsko polskie, pokonane w bitwie pod Lipskiem, stanowiło jednak siłę, z którą liczyli się potem zwycięzcy mozarze.

Nie wdając się w szczegóły, powiem tylko, że traktat Macchiavelli'ego jest podobnym do pęku ziół, z których pszczoła, pomijając zatrute, gorzkie łodygi, może wyssać miód mądrości. Ale statysta włoski jest umysłem nadto realnym i przyziemnym, nie odczuwa potęgi twórczej wielkich idei. A jednak miał w przeszłości już przykład wojen krzyżowych, które nie osiągnęły swego celu, ale zmieniły oblicze Europy, łącząc wschód z zachodem i wskrzeszając świąty kultury starożytnej. Macchiavelli twierdzi, że tylko „uzbrojeni prorocy zwyciężają“, a bez-

bronni giną. Zapomina jednak o tem, że chrystyanizm bez broni stał się potęgą duchową, z którą władza świecka w Konstantynie sprzymierzyła się, czując jego wzrost nieposkromiony. Potęgą idei uzbroiła do zwycięstwa rewolucję francuską i zmiotła niedawno despotyzm rosyjskiego cara. Idealizm polityczny, który zbankrutował w drugiej połowie zeszłego stulecia, dzisiaj odzyskuje swoją wielką wymowę na arenie dziejowej.

Pokazało się, że wojna, podjęta w imię imperializmu oraz interesów handlu światowego, daje rezultaty, o jakich się nie śniło tym, którzy przez długie lata gromadzili dla jej wybuchu palne materiały. Dzisiaj z trybun ministerjalnych obu stron wojujących padają wielkie słowa i hasła wolnościowe, humanitarne, którym jeszcze niedawno uragały politycy, wierzący tylko w pracę ognia i miecza. Hasła te służą nieraz dla zamaskowania interesów i celów egoistycznych polityki, są aktem obłudy, która jednak, jak słusznie powiedział pewien pisarz francuski, jest zawsze hołdem składanym prawdzie.

Czy ten wskrzeszony idealizm będzie początkiem nowej ery, która usunie z polityki tak zwany machiawelizm, przewrotną dyplomację, gwałty i wiarołomstwa? Nie trzeba ulegać złudzeniom optymizmu ani wierzyć, że mężowie stanu i politycy wyzrokują się całkowicie taktyki, opartej na wyzyskaniu interesów i namiętności ludzkich, na manewrach, dążących do zgębienia strony przeciwnej. Polityka bowiem jest i będzie zawsze walką o władzę, podsycaną przez ambicję jednostek i partii.

Można jednak żywić nadzieję, że narody po krwawej kąpieli odetchną świeższym nieco powietrzem, tym bardziej, że widzimy już jawne bankructwo starych metod rządzenia i krętaństw dyplomatycznych. Sam ten fakt, że idea niepodległości Polskę zyskała wszechświatową sankcję, może budzić otuchę, że nadejdzie epoka w stosunkach międzynarodowych, gdy po orgjach mordu i nienawiści, wedle słów naszego poety-myśliciela: „miłość zmaże plamy krwi i uścisk zwycięży bratni“.

Józef Kotarbiński.





W. Dyzmański. „Rysunek.”



W. Dyzmański. „Portret p. L.”



W. Dyzmański. „Zima.”

INDYWIDUALNOŚCI.

Wystawa Wacł. Dyzmańskiego.

Zbiorowa wystawa prac malarzskich Wacława Dyzmańskiego w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych odsłania przed nami wrażliwą indywidualność artystyczną. W dorobku jego znać zmaganie się wewnętrzne, widać poszukiwanie, obecną tu jest szkoła i to szkoła w najszlachetniejszym tego pojęcia rozumieniu.

Dyzmański przeszedł przez wszystkie głośnie akademie zachodu, chcąc poznać tajniki swojej sztuki. Kształcił się w Monachjum, pracował w Paryżu, lata całe poświęcił Florencji i Rzymowi. Z racji tej zapewne i na dorobku jego artystycznym odzwierciedla się wpływ atmosfery artystycznej, w jakiej przebywał. Dostyc jest spojrzeć w oczy jego autoportretu, by odnaleźć echo Böcklinizmu. Dyzmański jednak indywidualizuje te echa. Jego autoportret jest obrazem wypowiadającym tylko jego świat uczucia i marzenia...

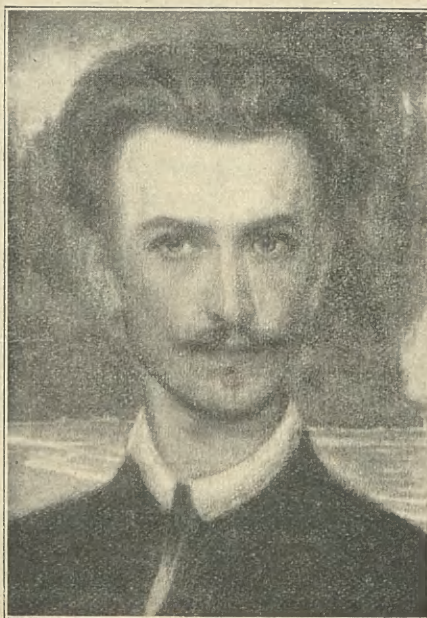
Możnaby też w jego studjum do „Salome” odnaleźć znów wpływy Moreau, ale... obraz jest własną wypowiedzią indywidualności Wacława Dyzmańskiego.

W studjach zaś pejzażowych, malowanych w Paryżu, widać metodę impresjonizmu, szlachetnie pojętą. Dyzmański obrazy te kilkanaście lat temu przesłał z Paryża do Warszawskiej Zachęty. Wtedy odrzucono je. Dziś wiszą z honorem na czoło-

wej ścianie i budzą w artyście dziwne refleksje. Będąc na wystawie, spotkałem właśnie W. Dyzmańskiego, który mój ze smutnym uśmiechem powiedział:

— Czy pan wie, że ten wiszący tu pejzaż „Ogródu Luksenburskiego” wywołał zgrozę jury? A przecież to potop światła, to radość dla oka...

Rzeczywiście pejzaże W. Dyzmańskiego, malowane impresjonistycznie, są doskonałymi studjami efektów światła. Soczysta ich barwność zatrzymuje uwagę i wywołuje wrażenia podniosłości...



W. Dyzmański. Autoportret.

P. W. Dyzmański dodaje po chwili jeszcze:

— Dziś ten sam sędzia, który wtedy odrzucił te moje pejzaże, wieszował mi właśnie, wyróżniając na mojej wystawie tylko „Ogród Luksenburski...”

Na smutnych ustach malarza słowa te wywołały jednak uśmiech. Uśmiech nieuchwytny, żyjący też w jego „Głowach kobiecych”. Dyzmański bowiem tylko w tym rodzaju wypowiada najgłębszy swój duchowy akord. Przez spojrzenie czarnych oczu niewieścich, przez linję ust i układ rąk spowiada melancholii swojej smętną, idealistyczną tęsknotę. Nawet przez karnację ciał, nie mających zdawałoby się nic wspólnego z tonami idealizmu, mówi duchowość, mówi właśnie to smętne zapatrzenie, któremu Dyzmański oddał się całkowicie.

Studując we Florencji kulturę włoskiego odrodzenia wśród głów fascynujących tego okresu, odnalazł to spojrzenie dziwne, niepokojące a tak wymowne w da Vinciowskiej Monnie Lizie. I słoneczna Italia, renesans sztuk włoskiej, oddźwięk znalazły w melancholijnej nostalgii sarmaty. Obudziły tajemniczy dreszcz nieuchwytnego wyrażenia spowiedzi duszy.

Bo nawet gdy Dyzmański maluje portret w stylu małomieszczanckiego salonu, obliczony na gust pocziwego męża — to i wtedy nieciekawą naogół główkę swojego mo-

dela obdarzy swoim niepokojem, swoją tęsknotą, swoim idealizmem...

Pięknie też Dyzmański czuje dusze „podlotka“. Jego sny nierozbudzone mówią mu całe legendy. Mięki dołeczek na policzku, linja ust i spojrzenie jasnych oczu wróżą bajeczne cuda. A jednak i tu już błądzi lekki opar melancholji, już śpiewa swoją tęsknotą nieukojoną nostalgja.

Dyzmański w szeregu kilkudziesięciu prac wystawionych pokazał twór swój w całej genecie rozwoju. Można na tych pracach odczytać wszystkie szkoły i kierunki, jakim ulegał.

Ale indywidualność jego nigdy nie brała niczego zewnątrznie. Każdą szkołę przetransponować potrafił na ton swój własny. Ponad wszystkim unosi się idealizm Dyzmańskiego: niepokojąca melancholja spojrzeń, zapatrzenie się w tajemię bytu.

I głowa kobieca, jako symbol tej zagadki, nurtuje, wypromienia z Dyzmańskiego jego idealistyczne sny na jawie. A uśmiech tajemniczy i niepokojące spojrzenie oczu pozostaje jako kwiat tych poszukiwań artystycznych, które na drodze swojej postawiły sobie za cel patrzenie w głąb duszy ludzkiej.

K. Ls.

Komitet organizacyjny Zjazdu Kobiet Polskich, który się odbył dnia 9 i 10 września r. b. w Warszawie.



Grupa przedstawia prezydjum Zjazdu: przewodnicząca dr. med. J. Budzińska-Tylička, wiceprzewodnicząca Teodora Męczkowska, sekretarka Anna Poradowska, skarbniczka Helena Skłodowska - Szalay, członkinie: Marja Chmielińska i Ludwika Jahołkowska-Koszutska.

Fot. Maryan Fuks.

Zjazd straży ochotniczych ziemi Łęczyckiej w Łęczycy.



Dnia 9 b. m. odbył się w Łęczycy zjazd straży ochotniczych ziemi Łęczyckiej. Grupa przedstawia sąd konkursowy z inż. Tuliszkowskim na czele.

Fot. Maryan Fuks.



K. Wierusz - Kowalski. „Za wrogiem“.

Marjan Smoluchowski.

Co za bolesna nowina?! Smoluchowski był jednym z najzdolniejszych Polaków, jednym z najbardziej zagranicą uznanych fizyków. Jego imię było szanowane we Francji, w Niemczech, w

Anglii. Posuwał naprzód naukę. Jego teoria opalescencji zajmuje osobny rozdział w znakomitem dziele Perrina o „Atomach“. W zbiorowej książce niemieckiej, poświęconej



ostatnim wiedzy o budowie materji, Smoluchowski pomieścił swoją pracę obok prac takich wielkich twórców nowej fizyki, jak Lorentz i Planck.

Młody uczony przeszedł przez świetną szkołę w laboratorium imienia Cavendisha, pod kierunkiem Kellina, gdzie miał za kolegów Rutherforda i Langevina. Jego prace, spraw-

dzające ruch cząsteczek nieregularny a ciągly, zwany ruchem Browna, przyczyniły się do zapewnienia zwycięstwa teorii atomistycznej materji. Ten ruch Brown, angielski botanik, odkrył pod mikroskopem jeszcze w 1827 r. Nie doceniono wtedy tego odkrycia, będącego potężnym argumentem za atomistyczną strukturą materji. Potem — zapomniano o tym wynalazku.

I to tak dalece, że ku końcowi ubiegłego stulecia atomy zaczęto traktować, jako zupełnie zbędną hipotezę, a Ostwald napisał cały podręcznik chemji, ani razu nie wspomniawszy słowa „atom“. Mach znowu rozpowszechnił podobnie negatywne teorie pod formą fenomenalizmu przyrodniczego.

Dopiero odkrycia Zeemana, Roentgena i Curiów nawróciły myśl naukową na tory atomistyki. Przypomniano sobie też odkrycie Browna, a prace i domysły Smoluchowskiego rozwinął wkrótce świetnie i w formie matematycznej znakomity niemiecki fizyk, Einstein.

Przez ruchy cząsteczek nieregularne objaśnił też Smoluchowski zjawisko opalescencji, które w pewnej mierze jest jakby chaosem

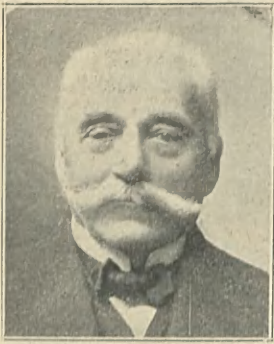
świetnym w przyrodzie. Na podstawie prac Smoluchowskiego wywnioskował Poincaré, iż regularność praw przyrodniczych, zresztą względna, ma swoją granicę. Wewnątrz atomu niema praw. Panuje tam, przynajmniej częściowo, chaos żywiołów. I grube metody rachunku prawdopodobieństwa zdają się być jedynymi, które możnaby do tych zjawisk stosować.

Jak widzimy, myśl Smoluchowskiego brała czynny i wybitny udział w organizowaniu się pojęć nowożytnej fizyki.

Bardzo niedawno, przed paru miesiącami, wyszedł drugi tom „Przewodnika dla samouków“, w dziewięciu dziesiątych napisany przez Smoluchowskiego. W nader jasny i prawie ponętny sposób przedstawiał on w nim ostatnie postępy wiedzy fizycznej, tak zadziwiająco, i dawał całej szereg cennych rad, jak należy się uczyć fizyki.

Nie mamy wśród polskich uczonych tej miary przyrodnika, — oprócz pani Curie-Skłodowskiej, — któryby zdołał zastąpić w pełni stratę, jaką ponosi Uniwersytet Jagielloński.

Dr. Voks.



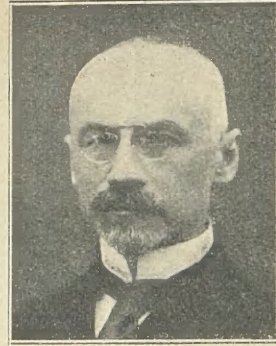
Sulej Stan., prezes Sądu Okręgowego w Mławie.



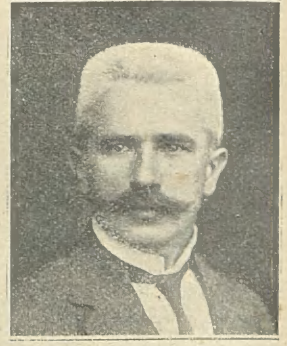
Żyliński Czesław, prokurator Sądu Okr. w Mławie.



Terpiłowski, prokurator Sądu Okr. w Siedlcach.



Kozłowski Karol, prezes Sądu Okr. w Siedlcach.



Jelnicki Roman, prokurator S. Okr. we Włocławku.

Teatry warszawskie.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Mentor“, komedia w 3-ach aktach Aleks. hr. Fredry (syna).

Oddawna uskarżamy się, że Teatr Rozmaitości nie ma repertuaru stałego, że wygrywa sztuki, które przypadkiem znajdują się na afiszu i zapomina o nich. Bardzo słusznym jest, by pierwsza scena polska nie żyła tylko dorobkiem twórczym ostatniej doby, lecz żeby była świątynią, w której święci się kult dla arcydzieł i dzieł wybitnych minionej doby. Fredro ojciec i syn w pierwszym rzędzie zasługują na pamięć. Lecz wznawianie dawniejszych utworów, aby doznało powodzenia u publiczności, musi być ujęte w ramy pewnej planowości. Musi być nacechowane umiłowaniem i zrozumieniem tych utworów, które odtwarzane być winny ze ścisłym zachowaniem stylu, w dokładnym odczuciu ich literackiej wartości.

Tym warunkom nie odpowiedziało przedstawienie „Mentora“, — jednej ze słabszych zresztą komedii Fredry syna, — gdy lepsza np. znacznie „Drzemka pań Prospera“ pozostaje w zapomnieniu. A wskutek tego i samo wznawienie nie doznało powodzenia u publiczności, mimo doskonałej gry pp. Pichorówny, Micińskiej, Jerzego Leszczyńskiego i staro mistrza Rapackiego, którym reszta biorących w przedstawieniu udział artystów starała się w miarę się dopomagać.

K.

Tajemnice sfinksa.

Sfinks jest dla nas symbolem tajemnicy. Takim był już i dla starożytnych Greków, którzy w tajemnicy upatrywali dzikie niebezpieczeństwo. Odgadnąć tajemnicę, było to zwyczajnie niebezpieczeństwo. Edyp oswobodził Tebę od plagi krwiożerczego sfinksa, rozwiązawszy zagadkę, którą ten napastował przechodniów. Jaka cudna, prawdziwie grecka pochwała inteligencji ludzkiej.

Ale czy sfinks był symbolem tajemnicy i w swoim rodzinnym kraju, w Egipcie?

Na to egiptologowie nie odpowiedzieli w sposób całkowicie zadawalniający.

Oprócz tej tajemnicy zasadniczej posiada zresztą sfinks i swoje tajemnice okazjonalne, których się nieraz archeologowie nasi nie domyślali. Oto np. amerykański egiptolog, Nocz, odkrył w głowie słynnego sfinksa w Gizah całą świątynię, rozmiarów 60 stóp na 14 stóp, która była jakby przedsiönkiem do większej, głębiej jeszcze ukrytej świątyni, połączo-

nej z nią kurytarzem podziemnym, prowadzającym do izb cmentarnych piramidy. Przechcono tym możliwościom. Ale po sprawdzeniu odkryć amerykańskiego uczonego okazało się, że w istocie istnieje w głowie sfinksa wgłębienie, dochodzące do trzech metrów wysokości. Na co to wgłębienie służyło?

Egiptologia otrzymała nowy problem do rozwiązania.

Boussac, wybitny archeolog i członek orientального Instytutu w Kairze, usiłuje go rozwiązać w ten sposób, że owo wgłębienie było rodzajem koafiury bożka, który nosił dziwaczne imię: Ra albo czasem Ammon-Ra. Ten kok składał się jakby z wyobrażenia słońca i dwóch wielkich piór. Sfinks był, zdaje się, wyobrażeniem bożka Harmakhisa, słońca zachodzącego, bóstwa specjalnie żałobnego. Stąd jego obecność w Gizah, pustyni, która była cmentarzem faraonów. Symboliczną koafiurę nosiły liczne bóstwa egipskie. Miano nawet osobne słowo na tego rodzaju dekorację: *atew*. Oziris, bożek umarłych, nosił na łbie *atew*, który uczony francuski w swej hipotezie nakłada i sfinksowi. W całości *atew* składa się ze słońca, z dwóch piór strusich, z dwóch beret królewskich i dwóch rogów wołich.

Tego *atewu* nie wykuto w monolicie, ale dodano sfinksowi, gdy ten już był gotów. Musiano przeto wydłubać mu dziurę we łbie dla osadzenia ozdoby. Ale ta ozdoba pod kruszącym wpływem wieków powoli się zniszczyła. Pioruny ją hupały, wiatr ją proszkował. Prawdopodobnie już na 1600 lat przed Chrystusem sfinks nie miał tej dziwacznej korony na głowie. Ale przez lat 2500 pierwszych niezawodnie ją nosił. Kiedy Thomes IV zabrał się w szesnastym wieku przed narodzeniem Chrystusa do restauracji zabytków, skwitował z odtworzenia *atewa*, który nie obiecywał wieczotrwłości. Ale odrestaurował sfinksowi brodę, którą nosił pierwotnie, a z której dziś nie zostało i śladu. Mimo tych znie wag, jakie czas wymierzył sfinksowi, ten pozostał do dziś dziwnie wyrazisty w swych konturach; wzrok jego zwłaszcza jest fascynujący; głowa zachowała spokój i odbija nierówną pogodę.



SFINKS.





Rosyjski obecny szef armji, generał Kornitow, podczas swojej niewoli w Austrii. Kornitow, jak wiadomo, walczy obecnie o dyktaturę z Kiereńskim.



Kiereński, głowa Rządu Tymczasowego Rosyjskiego wyszedł zwycięsko z walki o dyktaturę i z Jego inicjatywy powstać ma dyrektorjat rządzący Rosją. W ten sposób kontrewolucja rosyjska doznała niepowodzenia.

O wpisy szkolne.

Nadzieją, iż szkolnictwo średnie i zawodowe, ta ostoja szkolnictwa polskiego, z początkiem roku szkolnego 1917/18 przejdzie z rąk prywatnych i społecznych w ręce Władz Państwowych, jak dotąd, okazała się nieziszczalną. Przez dwa ubiegłe przejściowe lata, opierając się na hojnej ofiarności Warszawy i Kraju, Sekcja Kół Szkolnych, obejmująca 142 Koła Szkolne przy wszystkich prawie polskich szkołach średnich, zawodowych i wyższych oraz społecznych początkowych i czteroklasowych miejskich, skutecznie podtrzymywała szkolnictwo warszawskie, udzielając opieki najzdolniejszej ubogiej lub wskutek wojny zubożalej działwie szkolnej. Na wpisy, odzież, pożywienie, pomoce szkolne i t. p. w roku 1915/16 wydano z górą pół miliona marek, w roku 1916/17 około 400.000 marek. Nadchodzący rok szkolny wprost w rozpaczliwych przedstawia się barwach. Macierz, jako instytucja, mająca szerokie kulturalno-oświatowe cele, siłą faktów odciągnęła część funduszy ofiarnych, dawniej płynących jedynie na podtrzymanie szkolnictwa.

Tegoroczna Kwesta Majowa przy całej przychylności Macierzy na całoroczne potrzeby szkolnictwa przysporzy najwyżej 60. do 70 tysięcy marek.

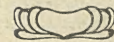
Niestrudzeni członkowie Kół Szkolnych rozpoczęli już swą ofiarną pracę. Sekcja czyni przygotowania do Kwesty

Listopadowej przez sprzedaż chorągiewek żałobnych. Jeśli jednak groza chwili nie przemówi do tych, którym przyszłość polskiej młodzieży leży na sercu, szkolnictwo nasze roku tego nie przetrwa... W rozumieniu niebezpieczeństwa wszystkie redakcje pism chętnie przyjęły pośrednictwo w tej sprawie.

Ofiary na wpisy szkolne składać można bądź do uznania Redakcji, bądź na Sekcję Kół Szkolnych (fundusz zapomogowy), bądź na poszczególne Koła Szkolne. Wprost na rachunek Sekcji wpłatę przyjmuje Bank Handlowy (rachunek Nr. 824).
Sekcja Kół Szkolnych.

25-lecie pracy.

W Warszawskich zakładach gazowych obchodzono d. 18 sierpnia 1917 r. jubileusz 25-letnia pracy Adolfa Szyndlera, technika, który zaszczytnie sobie uznanie dyrekcji, kolegów i pracowników. Na pamiątkę uroczystej chwili zostały jubilatowi wręczone cenne upominki od dyrekcji i kolegów wraz z adresem i grupą jego podwładnych pracowników.



Z ŻAŁOBNEJ KARTY.



Ojciec HONORAT, zakonnik i literat, zmarł w Nowym Mieście d. 16 grudnia 1916 r. w 87 roku życia.



T. JEZIORAŃSKA, francuska z pochodzenia, polka sercem, zmarła 3 b. m. w 72 r. życia w Warszawie.



St. PACIORKOWSKI, strażak, przy pożarze browaru Machlejda, padł ofiarą swego obowiązku.

Warszawianka kroczy rada
Choć poźótkły leci liść,
Choć mówili: nie wypada
Przez ulicę boso iść...



Art. mal. Bohdan Nowakowski, rysownik „Kurjera Świątecznego“.



„Warszawianka“, ilustracja Bohdana Nowakowskiego.

Zimy czeka ze spokojem
Bo ma w domu cały but,
Więc zwycięsko i przebojem
Przetrwą zimy osty chłód.



Michalina Makowiecka, humorystka, redaktorka „Kurjera Świątecznego“.

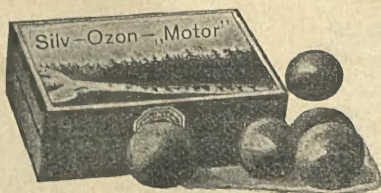
Do bieżącego Numeru dołącza się prospekt księgarni Gebethnera i Wolffa o książce D-ra Serkowskiego: „MLEKO I MLECZARSTWO“ II-gie wyd. 1917 r.

Tungstram
najtrwalsze lampki oszczędnościowe.

10376

Założony przez T-wo Kred. Ziemskie
Bank Ziemiański
MAZOWIECKA № 13
niniejszem zawiadamia, że wynajmuje
Skarbczyki stalowe (Safes)
przy opłacie rocznej od 30 marek i wyżej zależnie od wielkości skarbczyka. 10380

Silv — Ozon — „Motor“ 10200



w płynie i w postaci stałej w kapsułkach żelatynowych do przygotowania kąpieli balsamicznych.



KATALOG SZKÓŁEK 10372
firmy Bracia HOSER
w Warszawie, al. Jerozolimska № 59
wyszedł z druku i wysyła się bezpłatnie na każde żądanie.

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH
Wacława Perendyka
WARSZAWA, SENATORSKA № 8.
dawniej: SZWALBE, ŠACH i S-KA 10369
poleca
Nowe fasony palt na sezon bieżący oraz BURKI PODRÓŻNE.

PRACOWNIA BIELIZNY I HAFTU oraz SZKOŁA KROJU I SZYCIA
p. f. H. ZBRANIECKA
Warszawa, Krak. - Przedmieście № 6.
Przyjmuje uczennice od 1 września. 10366

Ten, kto chce mieć naprawdę dobre ubranie, to dostanie tylko
W MAGAZYNIE UBIORÓW MĘSKICH St. Czapińskiego
Miodowa № 2, (róg Senatorskiej), Miodowa № 2. — FILJA Ś-to Krzyska № 11.
!!MAGAZYN BOGATO ZAOPATRZONY WE WSZELKIEGO RODZAJU GOTOWĄ GARDEROBĘ!! 10364

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 15 września 1917 roku.

Nr 37.

Zwierciadło wojny.

(Henri Barbusse: „Le feu“ C. Flammarion, de Paris, 1917).

Ze skłębionego mrowiska nie-szczęść i klęsk, zapałów i entuzjazmów wojny wyłoniła się w literaturze fala konwencjonalnych kłamstw, w które przybrał się zarówno żarliwy patriotyzm, jak zyskowne szalbierstwo. Orgja wrażeń nie tyle cennych ile nowych zrodziła literaturę starej konstrukcji, lecz nowych słów. Krzyk przekleństwa stał się surogatem twórczości, donośny głos zadatką powodzenia. Na początek składano tuziny deklaracji, zaopatrywanych w dumne nazwiska, nawet takie, które do czasu wojny nie kładły się pod żadną zbiorową manifestacją, czy z szacunku dla swojej samotności czy w uznaniu bezużyteczności gromadnych wystąpień. W pierwszych miesiącach wojny literatura dzielnie spełniła zadanie politycznego agitatora i niepodobna ująć jej ani listka z wieńca, który wówczas w służbie dla wymogów chwili zdobyła. Pracowano za pomocą odezw, wywiadów, telegramów i plakatowanych oświadczeń, które potem zbierano w osobne książki, mylnie uważając je za pomnożenie osobistego dorobku. Nie było dystansu pomiędzy mową parlamentarzysty a artykułem Lotfi'ego np., różnicę stanowiła jedynie umiejętność wysłowienia i technika literacka. W ten sposób osiągnięto wspólną platformę, na której dla dalszych rozważań miejsca nie znaleziono. Osiągnięto jedność nie tylko „wewnętrzną“ lecz i „zewnątrzną“, ponieważ liryki Ryszarda Delmela upodobniły się nawskroś do wysta-

pień francuskich. Lissauera „Pieśń nienawiści“ znalazła naśladowców wszędzie w Europie. Hałaśliwa dyskusja w „Svenska Tagebladet“ odsłoniła tyle rozpadlin na wyżynach umysłowości europejskiej, że wszystkim uczestnikom zabrakło oddechu do dalszych wzajemnych wymysłów. Nastąpiły jednostronne oświadczenia, z których najznamiensze po stronie koalicji „King Alberts Book“, po stronie niemieckiej „Deutschland im Weltkriege“. Potem cisza. Kto przed rokiem i dwoma usiłował przysłać bilanse sztuki układać — o ile nie wywiązał się z zamówienia z góry — sam przyszedł do przekonania, że osiadł na mieliźnie po odpływie fali i że trzeba czekać przypływu.

Przypływ nadchodzi, a wraz z nim to, co kiedyś nazwie się duchem czasu. Mówić dziś o nim, znaczy rozplatać powijaki, w których się mieści to niemowle, czerwone jeszcze krwią macierzyńskiego łona. Mówić można o zapowiedzi, o znakach, wybiegających naprzód, torujących koryto powolniejszym, lecz idącym gromadą.

Literaturę „ducha czasu“ rozpoczynają wyznania. Wyznania literackiego, które dotąd obowiązywało, na oścież otwierają trzewia, zachwycone treścią, której służą, dla której bywają naczyniem pełnym drogocennej prostoty.

Z Francji dobiegają nas obecnie pierwsze wyznania, może nie dobiegające jeszcze szczytu doświadczeń epoki, lecz takie pełne przeżyciem

wojny, tak nabrzmiałe prawdą czasu, że wydaje się całkiem gotowe do spełnienia roli, która im niezawodnie przypadnie. Do wyznań epoki należy Henryka Barbusse'a „Ogień“, książka, którą śmiesznie nazywać wydarzeniem dnia, mimo, że po publikacji tej książki zaszły wszystkie objawy sensacyjnego wrażenia, więc niepomnierny pokup, dyskusje o wartości artystycznej i politycznej i — jedno-myślny zachwyt żołnierzy francuskich. „Le feu“ czytają wszyscy i wszyscy rozumieją, choć każdy inaczej, „le feu“ wyszedł poza sferę podobania się, a wszedł w osobiste czucie, stał się sztandarem, wyznaniem żołnierzy. Jeśli klęska wojny jest faktem w rzeczywistości, mikro-kosmem tego faktu w literaturze stał się „le feu“. Za nim dopiero pójda inne dzieła. Ktoś musiał otworzyć groble, zapierającą oddech i mowę, ktoś musiał rozpocząć wyznania dnia dzisiejszego. Uczynił to Barbusse. Za nim przyjdą inni, może głębsi, może staranniejsi, może dostojniejsi, lecz żywszymi, prawdziwszymi nie będą. Na rozdrożu pomiędzy sztuką umiesienia patriotycznego, która była może raczej sztuką obowiązku państwowego, a sztuką powojenną, która nie ma jeszcze ani nazwy ani heraldów, pozostanie Henryka Barbusse'a „Le feu“. Podczas wojny pochod książki odpowiada głębszym niż zwyczaj potrzebom, znaczy o wiele silniej swe ślady, tem bardziej, kiedy najgłębszą swą istotą przeciwstawia się dotychczas pielęgowanym odruchom, powszechnie uznanym wartościom. Książka Barbusse'a wyraża protest przeciw wojnie po przez samą wojnę, niszczy psychozę wojny przez jej opis, zwalczając dostojęstwo wojny przez wierność w oddaniu przeżyć wojennych, przypomina, o czem zapomniano, bierze w obronę

żołnierzy przed politycznymi aktorami. A wszystko przez wyznanie, co przeżył, czego doświadczył, w czym poniewolnie brał udział, będąc szczerym, odważnym a prostym żołnierzem Francji. „Le feu“ nosi podtytuł: „journal d'une esconade“, więc nie osoba spowiada się z grzechów wojny, lecz oddział, nie jednostka spisuje wyznania, lecz rota, pluton, gromada. Żołnierze mówią swoim językiem, zrodzonym w okopie strzeleckim, gwara, chropowata i brutalna, której słownictwo zwiększało się od bitwy do bitwy, oddając wiernie nalogi i nadzieje, pomysły i smutki żołnierza. Żargon Monmartru, pomnożony militarną frazeologią, splata się niezrozumiale z terminami południowca, z gaskońskim narzeczem i bretońską swadą. W sumie daje język poilou, trzy lata żyjącego po rowach od Calais do Verdun. Tym językiem pisze Barbusse, wierny spsstrzegacz świata wojny. A świat ten nabiera przezeń masywności i sprężystości, zatraca schemat, uczoność obserwacji i grację techniki, rozpyła się w szczegóły i nimi bierze, sączy się przez każdą literę i każdy zwrot, odżywa a może więcej: po raz wtóry żyje.

A więc? „Le feu“ zaczyna się i kończy czekaniem. Zbiera się esconade Barbusse'a i czeka. Czeką ciągle, godzinami i dniami na wszystko, na rozkaz wymarszu, na broń, ubranie, na spanie, na bitwę, na odpoczynek, na wojnę czekają na wojnie. Ciągłe, nieustanne czekanie jest tajemnicą spalania się nerwów żołnierzy, obciąża psychikę całej społeczności. Dzieje się tak dużo, lecz dzieje się powoli, nieznacznie powoli od jednego długiego etapu do drugiego.

Zebrałi się w okopach żołnierze i rozpakowują tornistry. Prócz obowiązkowego rynsztunku przyniósł każdy jakąś „swoją“ drobnostkę, fotografię, obrazek, szkaplerz. Ona go wyróżnia z pośród innych, wyławia z pośród miliona, czyni odrębnym, samodzielnym, do innych niepodobnym. Przemóżny strychulec, pod który miliony podciągnięto, nie nie pomaga; w każdym żywie iskra, co inaczej od innych płonie, innego paliwa się chwyta. Albo: rankiem pojawia się na horyzoncie wielki, nieruchawy a błyskawicznie mknący ptak, dobiega pierwszych chmur i spada prostopadłe na obronne linie. Lotnik, przyczajony za karabinem maszynowym, bada pozycje. Po obu stronach rozpadlin, składających się na bojowe linie, dostrzega kwadratowe masy, zebrane około kępy drzew. Spada niżej i tu i tam widzi mszę, odpra-

wianą dla żołnierzy przed codziennym bojem. Modlą się... tymi samymi słowami; modlitwy... tą samą prośbą o zmiłowanie i ratunek. Przygotowane bomby nie spadają z aeroplanu, lotnik wyczekuje długą chwilę, lecz coraz poczynają w koło niego pękać szrapnele, a skupione w dole szeregi rozpiierzchają się po norach podziemnych. Albo: pod okopem ciemną nocą czolga się żołnierz w poszukiwaniu za zagubionym bratem; przyczajony czuwa noc całą, słysząc tuż obok wyraźny chód zegarka, brzęczącego za murem. Gdy zwidniało, żołnierz natyka się o dwa kroki dalej na trupa brata i znajduje przy nim ów idący jeszcze „żywy“ zegarek.

I takich scen całe mnóstwo. Najjaskrawsze — to pejzaże z „hinterlandu“, gdy litują się a właściwie bawią się bohaterem polowym, żądając pozy, postawy i groźnego słowa, gdy pożywiają się jego kosztem niskie i najniższe instynkta, gdy za każdy dzień tej zabawy żołnierze sobą płacą. Barbusse tworzy epizody jaskrawe, wściekłe, rozbójnicze w słowach, godzących w jądro zła: w wojnę. Żołnierze radzą nad swoją i nad innych dolą. „Gdzie nieprzyjaciół nasz?“ pytają. Żołnierze z tamtej strony okopów nie wydają się im głównym wrogiem. I ich ciskają siły wyższe od nich i niezrozumiale w ślepią czeluść wojny. Sąż oni wrogami z wyboru i chęci czy także trafunkiem w promień obstrzału karabinowego rzucenia? Pytanie to nowe, tak dalece nowe, że wchodzące w konflikt z przepisami cenzuralnymi, obowiązującymi obecnie słowo drukowane i mówione w Republice francuskiej. Nieprzyjacielem — mówią żołnierze — jest wojna sama, fakt mordu i obowiązek. Barbusse dodaje niejako od siebie: „On ne peut pas se figurer“. Poeta i człowiek się skarży. Czy mu wierzyć? Prawie, że nie można. Bo arcyscena „ognia“ — to obraz szturm, należącego do wielkich w swoim rodzaju. Chwile ataku, w którym bierze udział oddział Barbusse'a, ubierają się w uroczystą szatę grozy. Natężają się władze duchowe we wzroście bojowego szaleństwa łącznie z niezrozumiałem a nieodpartem przekrwieniem władz umysłowych. I nie grają potem fanfary zwycięstwa ani płacze, rozpacz kłębski — tryumfuje śmierć, kosiarka i władczyni pobojowiska. Kto żywym wyszedł, ten milczy. Milczenie żołnierzy oskarża wojnę, oskarża wszystkich i wszystko, co wojnę przedłuża i każe jeszcze z nią, realnym, strasznym fantomem zła, obcować. Szyderskie słowo,

rzucane przez Barbusse'a sztuczności, frazesom i błędzie patriotycznej ojczyzny, jej codziennym współczuciom, wytartym entuzjazmom, zwyciężajnej niepamięci o tem, co się z dnia na dzień w polu dzieje — mają niesamowity posmak wielkiego, jedynego wyznania. Czyta się je, jak jakieś paradoksalne oskarżenie tego, co czas wojny każe nazywać miłością ojczyzny. Kochacie nas? Dlaczego wysyłacie nas na śmierć? Szukajcie innych środków odparcia złego. Zakończcie igraszkę z chimera potęgi, o którą walcycie za pomocą ciał naszych. I tu zaczyna się sfera, którą dotąd żaden z pisarzy nie odważył się pójść, sferą uznania dla przeciwnika, jego równouprawnienie w przeżyciu wspólnej tragedji. Nie podszeptały go jednak motywy polityczne ani nastroje pacyfistyczne. I pierwsze i drugie są Barbusse'owi obce. Szacunek dla istnienia, zgnieciona dotąd radość życia dobywa tutaj głosu, marzenie o swobodzie życia przeciwstawia się rzeczywistości śmierci. Stąd spokój pisarza. Setka obrazów, z których każdy inne rozdarcie duszy i ciała odsłania, w całości rodzą tylko wrażenie siły, opierającej się naporowi wojny! Miazga stratowanych istnień spisuje swój testament na kartach „Ognia“ i tysiące namiętych, wpółurwanych słów, dziesiątkę przeżartych gorączką nastrojów (ilością swą zagrożonych niebezpieczeństwem stopienia lub rozplywu) stwarzają całkowity tekst testamentu żołnierzy. Ten zaś, który go spisał, nie oskarża ani też oczu nie zasłania, starannie swą osobę usuwając w cień. A jednak, gdyby esconade, stojący na którymś tam „cote“ w Argonach, zubożał o szeregowca Henryka Barbusse'a, nie czytali byśmy „Ognia“ mimo, że na wszystkich frontach i o każdej godzinie przeżywa się go codzień i nie raz. Henryk Barbusse pisał już przed wojną. Teraz włożywszy do tornistra pewną ilość białych kartek, zapelniał je „Ogniem“, zbudzony wojną niespodziewanie dla siebie i dla drugich.

Kto zaś nad drogami sztuką ma chęć się zastanawiać — może w „Ogniu“ widzieć splatę długu, który twórczość zaciągnęła u ludzkości, przedrzeźniając jej instynkta na początku wojny, teraz „Ogniem“ je lecząc.

Mieczysław Rettinger.



KARYERY.

45

Minęli most o balustradzie z barokowymi złożonymi latarniami i sunęli — ku pałacowi z kości słońskiej, przeglądającemu się kokieterynie w lustrze stawów. Teraz szły aleją nad wodami, wśród swiergotu ptactwa i dzieci, przekomarżających się w harcach z mademoiselle.

Śród tej ciszy aromatów wiosny, czaru nieba i wód — szybowały z zagadkowością sfinksów dumne łabędzie. I Romek, nieprzytomny z powodu jakiegoś przeraźliwie smutnego, tytanicznego szczęścia — czuł się jakimś królewiczem z bajki: Oto jakieś dziwotwory wskazują czarowną drogę ku wyżynom, bardzo stromą, bardzo niebezpieczną, która nęci go tak, iż wybierze bez wahania. Raczej śmierć, niż skwitowanie z tych czarów... Lecz niepokoi się — strwożony jedynie tem, że to może wszystko sen, lub bańka mydlana, która pryśnie...

Spojrzał jej w oczy z trwogą prostaka, którego kuszą jakieś nimfy, piękne, jak anioły, lecz niebezpieczne, jak szatany...

— Czemu mi pan nie odpowiadasz? Czy nie godzisz się na mój traktat przyjaźni? Odrzucasz różdkę oliwną, którą się tak przed sobą chlubię?

A jego niema odpowiedź brzmiała — pytaniem:

— Czy jesteście pani zupełnie pewną tego, że aniołowie przeznaczyli kobietę do tego, aby snuła pomiędzy braćmi zgodę?

— Tak. Jestem tego pewną — odrzekły mu oczy pani Zosi, które wnet spuściła, spłoniona naraz chorobliwym, blado-różowym rumieńcem.

Po sekundzie niemego szybowania niewypowiadanych myśli — zeszył z powrotem na ziemię.

— Dziękuję pani! Jakżeż by mógł taki bezdomny nędzarz nie skusić się na otwarte naraz dla niego wrota królewskiego raję?

— O! Cóż za styl feljetonowy! — roześmiała się pani Zosia, której nie opuszcza dziś jakaś radość, od wieków już nie odczuwana. — Uprzedzam jednak, aby obyło się bez rozczarowań, bo w tym królewskim raję jest dość nudno.

Oczy ich spotkały się. Jego smutne spojrzenie mówiło najwyraźniej:

— Po co te drwiny? Czy nie wiesz, że w tym królewskim raję jest — jedyna oaza, całe moje życie? Poza nim cały świat jest pustynią, stepem, oceanem, lub trzęsawiskiem błota.

Pani Zosia drgnęła przed wyrokiem losu, który po raz wtóry zsyła jej znowu na drogę jej życia tego człowieka. A w głowie jej zaświtała prorocza ta sama sceptyczna myśl, wykradziona mu z jego głowy:

— A jeżeli aniołowie nie przeznaczyli kobiety do tego, aby snuła pomiędzy braćmi nić zgody?

Lecz musieli przystać na bezapelacyjną propozycję dawnych bachorów, a dziś już młodzieży, zaudzającej najdespotyczniej o przejazdkę łódką po stawie.

Zaczęli już traktować z przewoźnikiem o wybór łodzi, kiedy naraz ciszę powietrza rozpruł pierwszy grzmot piorunu. W ciągu jednej sekundy cały świat dokoła przebrał się w zdumionych oczach, jak w kalejdoskopie, po prestidigatatorsku w odmienną szatę: Porzucił lazury, perłę i złoto dla cynku i ołowiu i zakrył cały przepych barw, woni i słońca szarym pokrowcem wiatru i chłodu.

— Niech pan przywoła dzieciarnię. Są przy końcu alei.

— Pójdę po nią — zmierzał ku nim szybkim krokiem.

— Jakże on ma ładne plecy — uderzyło panią Zosię — i jak ładnie chodzi.

— Finita la comedia — roześmiała się mademoiselle — Il faut fuir! En avant!

Posmutniały „bębny“; uginając się pod nakazem sił wyższych, już bez żadnych przekomarżeń się — biegły pod komendą starszych z powrotem ku górce, jak stado spłoszonych ptaków, aż starsi ledwie im nadążyć mogli.

Finita la comedia! Dźwięczał im mimowoli ten wyrok w uszach, jak wygnanym z raję dla których chwila szczęścia się skończyła.

A dokoła nich szarość coraz się powiększała; nagły chłód unosił się po nad marszczone wiatrem sine wody stawu; kwietniki, naraz zmatowane, posmutniały... Tylko zagadkowe łabędzie ze swoją filozoficzną grandezzą sfinksów — zdawały się rzucać całej naturze, przygotowują-

cej się do jakiejś żywiołowej potyczki, sceptyczne słowa:

— Któżby się tam czemukolwiek dziwił? Przecież wogóle to wszystko jedno!

Zziajani, zmęczeni — dobiegli jeszcze przed burzą do wrót żelaznych przy Belwederze. W alejach szaro, pusto... Nadchodząca burza — wysłała swoją awangardę w postaci zasypującej oczy zamieci kurzu i piasku. Grzmoty nie ustają... Szarość nieba rozpruwają coraz częściej ogniste wstęgi błyskawic...

Przywołano cudem drzemiącą przy Bagatelę dorożkę, w której Romek usadowił Zosię z jej rodziną i mademoiselle. On zaś ze swymi pupilami miał jechać tramwajem

— Do widzenia, do jutra — przypominała mu na odjeździe pani Zosia.

— Dziękuję. Do jutra — krzyknęła dorożce, która już wyruszyła.

Siedząc w tramwaju z pupilami, którym nie był w stanie odpowiadać na ich sroczę pytania — nie spuszczał oczu z nieba.

Zapowiedziana burza jakby wskutek sprzecznych informacji i źle zrozumianych poleceń na niebie — zdawała się nie przychodzić do skutku: Chmury, niepewne, niezorganizowane — biegały tu i owdzie, zdając się rzucać pytanie komuś źle poinformowanemu i niedoświadczonemu w dyrektywie:

— Więc jakżeż? Czy mamy wziąć się do pracy, czy pobawić się lotem po niebie? Cóż to za porządki? Słowo daję, nie wiadomo teraz, do kogo po rozkazy się udawać?

Nareszcie dla pozbycia się roboty machnięto ręką na ostatnią decyzję nieba:

— Wszystko jedno! Niechaj sobie będzie pogoda!

Chmury, poganiane ostatnimi wiatkami, uszczęśliwione — uciekały od roboty po niebie. Przyrzędy do grzmotów i piorunów — ustawiono w zwykłym przechowaniu. Pogaszono światła błyskawic. Pozawieszano białe obłoki, z których wyrzały cudne lazury nieba... Zaświeciło słońce...

— A więc to były tylko strachy na lachy? — zakonkludował Romek, opuszczając z pupilami tramwaj.

— Należało przeczekać burzę w Łazienkach — utyskiwały pupile.

— Rady nieco spóźnione — bąknął Romek, rozżalony niemniej, niż jego uczniowie, z powodu przerwanej przechadzki.

Zapomniał już o swoim smutku, który przez czas spaceru tarosił mu piersi — przekonany, że ten smu-

tek był najcudniejszą radością, a że smutkiem jest dopiero ten stan, który teraz odczuwa, kiedy tamta radość już się skończyła.

— Czemu nie zatrzymałem jej dłużej? Co za tchórzowstwo — czynił sobie w duchu wymówki — bać się nadchodzącej burzy i przerywać niebawem cudne chwile, jakich w życiu już może nie dożyje. Przerywać je z obawy przed groźącym niebezpieczeństwem, które nadejść wcale nie miało! A gdyby nawet nadeszło? Czyż szczęście nie jest warte wszystkich burz i piorunów, jakie w nas mogą ugodzić? Czyż za chwilę szczęścia nie warto płacić cierpieniem choćby całego życia? Bo nieprawdą jest, że szczęście znika. Ono przecież zostawia po sobie wspomnienie — jak kwiaty wyniesione z pokoju pozostawiają po sobie wonny zapach, przemieniający ciemną ludzką bezduszną norę na czarowny podzwrotnikowy boski ogród riviery, która ci piersi rozsadza. Przyłkniesz tylko oczy, i nędza twoja znika; a wyrastają ci w wyobraźni te wszystkie znikłe kwiaty; czujesz je w swoich płucach i rzucasz im pocałunki, jak król, upojony winem złotego puharu.

I on miałby, o hańbo! z obawy burz i piorunów wyrzec się tego królestwa? Nigdy. Będzie biegł ku szczęściu z wyciągniętymi rękami — niepomny wichrów, błyskawic; przez ogień i wodę, przez żywych i umarłych, nie analizując, czy ta szaleństwo, czy podłość. Niechaj zginie w tej pogoni albo on sam, lub ci, którzy staną mu na przeszkodzie!

— Gra — warta świecy; nawet gdyby ją zapalił diabeł!

W głowie kotłowało mu tak, jak gdyby cała niedoszła burza przeniosła się z nieba do jego piersi. Nie mógł oddychać... Poblady — rzucił się na ławkę w alejach.

— Co się panu stało? — badały go wystraszone chłopaki. — Może wody przynieść z cukierni?

— Nie, nie. Nie trzeba. Już przeszło. To ta zmiana atmosferyczna tak na mnie podziałała. Idziemy już do domu.

XXI.

— Kocham go! — uśmiechała się do swoich marzeń księżna, wpełzając po kąpieli na białym niedźwiedziu, zarzuconym na szezlongu w jej gotowni przy toalecie, lśniącej od sreber i kryształów.

Na dywanie u jej kolan klęczała miss Jackson, zajęta manicurą swojej królowej. Uzbrojona w pilniki,

cudackie nożyki i nożyczki — rzucała jej paznokcie, od czasu do czasu obrzucając swoją królową psiem przywiązaniem niewolnicy, połączone z niezdrawem uczuciem starej panny neurasteniczki.

— Kocham go, jak pensjonarka — uśmiechała się księżna do otrzymanych przed chwilą od Horskiego codziennych białych róż, kąpiących się w wielkim kryształowym wazonie, z beczennymi renesansowymi ornamentacjami ze złota i srebra. — Nudzisz mnie! — rzuciła zniecierpliwiona zbyt natęczywie czułymi spojrzeniami swojej niewolnicy. — Idź już sobie! — wskazała na drzwi potulnej służki, która wnet spełniła jej rozkazy.

Księżna powstała z siedzenia. Lustro bieliźniarki — odbiło ją całą od stóp do głowy. Było mniej stronne, niż oczy miss Jackson. Księżna nie spuszczała z niego oczu.

— Nie, nie! — uśmiechnęła się zwycięsko. — Jestem jeszcze piękną. Najostrzejszy sędzia mi to przyzna.

Lustro nie kłamało. W swoim złocistym kimonie z japońskiego jedwabiu, haftowanego ręcznie w deseni ibisów, igrających wśród kwiatów jabłoni, zarzuconem niedbale na białe koronki jej saut du lit — księżna była zawsze jeszcze tym fenomenem zjawiskowej urody, wyrastającej ponad charakterystyczne cechy jakiejś specjalnej rasy.

— Professional beauty! — charakteryzowała ją miss Jackson.

Ze swoją po akademicku kształtną główką o farbowanych mahoniowych włosach, z greckim nosem kamei, o cudnie wykrojonych karminowych ustach, z zabójczo czarownymi fiołkowymi oczami, z linią i gięstem królowej — mogła uchodzić tak samo za piękną Polkę, jak za piękną Greczynkę, lub Hiszpankę.

Wyjęła różę z wazonu; przytuliła je do ust; wchłaniała je w siebie, nie odrywając ich od twarzy.

— Jestem szalona! — zakonkludowała, usiłując wyzwolić się z tego transu sceptycyzmem. — W moim wieku, po wszystkim, com przeżyła, po wszystkich wrażeniach, których już zaznałam — czy to nie czary?

— Mam uczucie, jak gdybym całe życie przespala i jak gdyby w jakimś somnambulizmie jakaś obca mi osoba spędziła te całe lata tułaczce. A ja wróciłam wczoraj z Jędrzejewic; wczoraj w kretonowej sukience jeździłam z nim o blasku księżyca w łódce po stawie, zarosłym nenufarami! Wczoraj oddałam mu mo-

je usta w pierwszym dziewiczym pocałunku. I czysta, jak niezapisana kartka welinu — czekam przez lat dwadzieścia z górą, wierna temu wspomnieniu — na narzeczonego, któremu oddałam się cała na zawsze! Był moim pierwszym kochankiem i jedynym... Ha, ha! — roześmiała się z powodu tych pensjonarskich marzeń, właściwych dla sentymentalnych mieszczek. — Nie wolno być tak naiwną! To tylko śpiąca królewna po stu latach snu nie przestała być 16-letniem dziewczęciem!

Faktycznie nie poznawała samej siebie. Poczęła lekceważyć zdobyte z takim mozolem życie wielkoświatowe; ten cały mond, w którym wprowadzie obracała się z wyraźną swobodą, którego pozyskanie jednakże — niezależnie od niej — w głębi imponowało jej.

Bo choć uważała się, jak wszyscy u nas, za pochodzącą także z bardzo „dobrej“ rodziny, pamiętała jednak, że matka jej utrzymywała się z odnajmowania umeblowanych pokojów; a ona w pierwszych latach zagranicznej tułaczki — była trochę śpiewaczką, a trochę — małą kokotą!

Tym razem pozwoliła trochę zbyt długo czekać na listowną odpowiedź hrabinie de Montcornet, która bądź co bądź była córką króla Islandji, i zerwała korespondencję z panią Mariani, która była bądź co bądź bratową cesarza.

Nie odpowiedziała wcale na list swego ex-przyjaciela markiza Steno. Pięknemu lordowi Bingtonowi, który zarzucał ją w początkach listami miłosnymi coraz bardziej płomieniami — odpisała wręcz — w przewidywaniu jego odwiedzin w Warszawie, aby nie ważył się jej odwiedzać, ponieważ tout passe, tout lasse, tout casse. I zakończyła list najkategoryczniejszym zerwaniem, ponieważ okłamywać go nie chce, a kochać dłużej nie może.

Piękny Horskj zakrywał jej cały świat. Kiedy go nie widziała, żyła wyłącznie myślą o nim. Kiedy się zjawił, miała ochotę klęczeć u jego kolan i całować go po rękach.

Nietylko spłonęła w perzynę cała jej duma i ambicja kobiety-karjerowicza, drapiącego się w góry z jedynym hasłem: wyżej! Lecz zanikł w niej w zupełności cały jej spryt, życiowe doświadczenie w umiejętnym prowadzeniu kunsztu miłosnego, w którym tak zwane niebezpieczne kobiety odróżniają się od pospolicie zakochanych mieszczek i pensjonerek.

Dalszy ciąg nastąpi.



W oczach Zachodu.

34

POWIEŚĆ

— Tak — rzekłem. — Myślisz pan; o erze zgody i sprawiedliwości.

— Tak; zbyt wiele nienawiści i zemsty jest w teraźniejszej robocie. Oczywiście poniechać jej nie można. To ofiara; niechże więc będzie jak największa. Zniszczenie jest dziekiem gniewu. Niechże ludzkość zapomni zarówno o tyranach jak o mścicielach, a pamięta jedynie o tych, którzy ją odnowią.

— A Zofja Antonowna zgodziła się z panią? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Powiedziała tylko: „Dla pani to dobrze, że wierzysz w miłość“, ale myślę, że mnie zrozumiała. Potem spytała, czy chcę zobaczyć się z panem Razumowem niezwłocznie. Powiedziałam jej, że liczę na to, iż uda mi się zaprowadzić go dziś jeszcze do matki, którą dowiedziała się, że on tu jest i pragnie koniecznie usłyszeć coś od niego o Wiktorze. Jest on bowiem jedynym przyjacielem i powiernikiem mego brata, przynajmniej o ile nam wiadomo. Na to Zofja Antonowna rzekła: „Ach! tak. Brata pani. Proszę, powiedz pani panu Razumowowi, że puściłam w kurs otrzymaną z Petersburga wiadomość. Dotyczy ona aresztowania brata pani. Zdradził go człowiek z ludu, który się potem powiesił. Pan Razumow wytlomaczy to pani. I jeszcze powiedz mu pani, że Zofja Anonowna pozdrawia go. Wyjeżdżam jutro rano — bardzo daleko.

Po chwili milczenia panna Haldin dodała:

— To, co słyszałam, tak mną wstrząsnęło, że poprostu oniemiałam... Człowiek z ludu!... Och, biedny ten nasz lud.

Zwolniła kroku, iak gdyby zdjęta nagłem znużeniem, i szła ze zwieszoną głową pustym bulwarem, po którym rozlegały się banalne dźwięki hotelowej muzyki, płynące przez otwarte balkony i tarasy jasno oświetlonych gmachów.

Byłem tak pewny, że dowiedziała się o adresie pana Razumowa, że szedłem i towarzyszyłem jej, nie pytając dokąd idziemy.

Na moście Mont Blanc rzekła:

— To bardzo niedaleko naszego domu. Tak mi się też zdawało... Rue de Carouge. To będzie jeden z tych wielkich domów świeżo pobudowanych dla rzemieślników.

Wzięła mnie poufale pod rękę i przyspieszyła kroku. Było coś pierwotnego w naszym postępowaniu. Nie pomyśleliśmy o cywilizowanych środkach lokomocji. Dorożki stały rzędem pod parkanami ogrodów, a nam nie przyszło do głowy wsiąść w którą z nich i kazać się zawieźć. Ja zapewne pochłaniała jedną wyłączenie myśl, a co do mnie... wzięła mnie pod rękę z takim zaufaniem... Minęliśmy Plac Teatralny i niezadługo znaleźliśmy się na ulicy Carouge. Była to już uboższa dzielnica, dochodząca do krańców miasta. Wysokie nowe domy wznosiły się, poprzegradzane niezabudowanymi placami. W oknach było już przeważnie ciemno, tylko na parterze jednego, narożnego domu przez otwarte na rozcień drzwi świeżo pobielanego sklepu lało się obfite światło. Tu właśnie mieszkał pan Razumow.

— Musimy zapytać w sklepie — rzekła panna Haldin.

Chudy, o nikłym zarobku mężczyzna położył na ladzie dziennik i odpowiedział, że pan, o którego pytam, jest istotnie jego lokatorem z trzeciego piętra, ale że w danej chwili niema go w domu.

— W danej chwili — powtórzyłem, spojrzawszy na pannę Haldin. — Czy to ma znaczyć, że pan spodziewa się go wkrótce z powrotem?

Właściciel sklepu uśmiechnął się z pobłażliwością człowieka, który wie wszystko. — Pan Razumow był cały dzień poza domem i wrócił wczesnym wieczorem. To też on (właściciel) zdziwił się, ujrawszy go wychodzącego znów w jakieś pół godziny potem. Pan Razumow zostawił klucze i powiedział, że wychodzi, bo potrzebuje powietrza.

Tak; powietrza. I nic dziwnego, noc bowiem była bardzo duszna. Ale czy wróci prędko, czy nie, to trudno zgadnąć.

Spojrzał ku drzwiom i dodał:

— Burza go przypędzi z powrotem.

— Myśli pan, że będzie burza? — zapytałem.

— Z pewnością.

I jakby na potwierdzenie tych słów usłyszeliśmy bardzo daleki, stłumiony odgłos grzmotu.

Porozumiewszy się z panną Haldin oczyma, powiedziałem sklepikarzowi, żeby w razie, jeżeli pan Razu-

mow wróci za jakie pół godziny, poprosił go, by poczekał w sklepie, a my znów niezadługo wstąpimy.

Za całą odpowiedź, sklepikarz skinął głową. Wyszliśmy zwolna na ulicę i skierowaliśmy się za miasto, gdzie nad niskimi parkanami skromnych willi wisiały zbite masy zieleni, nurzając się w świetle gazowych latarni. Lodowate wody Arwy, toczące się po niskiej grobli, napełniały przestrzeń surowym swem tchnieniem. Niebo zaciągnięte chmurami zdawało się oglądać ku nam groźnie i nieżyczliwie.

Gdyśmy doszli do mostu, rzekłem:

— Wracajmy lepiej.

Chudy właściciel sklepu ślecząc wciąż nad rozłożonym na ladzie dziennikiem. Ujrawszy mnie, wstrząsnął przecząco głową. Nie było rady; należało wracać. Panna Haldin rzekła, że wczesnym rankiem pośle Annę z listem i znów milczeliśmy oboje, przyspieszając kroku.

Ulice były zupełnie prawie puste; przez całą drogę, która wydała mi się nieskończoną, spotkaliśmy za ledwie paru zapóźnionych przechodniów. Weszliśmy nareszcie na Boulevard des Philosophes, ponury, obumarły, przynębiający. Widok dwóch oświetlonych okien uprzytomnił mi panią Haldin, siedzącą w fotelu, ofiarę teroru i rewolucji, skazaną na oczekiwanie, które tylko śmierć zakończyć mogła.

III.

— Niech pan wejdzie na chwilę — rzekła Natalja Haldin.

Wymawiałem się spóźnioną porą. Ale ona nalegała:

— Mama tak pana lubi.

— Więc wejść na chwilę, zobaczyć, jak się mama pani miewa.

— Nie wiem nawet, czy uwierzy, że nie znalazła pana Razumowa — rzekła panna Haldin — skoro ułożyła sobie, że coś przed nią kryje. Pan jej może wytłumaczy...

— Mama pani może i mnie nie będzie wierzyć — zauważyłem.

— Panu? Dlaczego? Cóżbyś pan mógł ukrywać przed nią. Nie jesteś Rosjaninem, ani spiskowcem.

Uczułem głęboko moją europejską odrębność, ale nie rzekłem nic, postanowiwszy wytrwać do końca w roli bezradnego widza. Odgłos grzmotu w dolinie Rodanu podchodził coraz bliżej pod uspięte miasto prozaicznych enót i ogólnej gościnności.

Panna Haldin zadzwoniła i drzwi otworzyły się natychmiast, jak gdyby wierna Anna czekała w przedpo-

koju na nasz powrót. Płaska jej twarz wyrażała zadowolenie. — Ten pan przyszedł, — oznajmiła, zamykając za nami drzwi.

Żadne z nas nie zrozumiało. Panna Haldin zwróciła się do niej żywo: — Kto?

— Herr Razumow — oświadczyła Anna.

Z naszej rozmowy, prowadzonej w przedpokoju, wymiarkowała, dokąd poszła panna Haldin, więc gdy gość, o którego właśnie chodziło, zjawił się niespodzianie, wpuściła go natychmiast.

— Kto by to był przewidział — szepnęła panna Haldin, patrząc na mnie swemi szaremi, poważnemi oczyma, a ja, przypomniawszy sobie Razumowa, gdy go spotkał koło poczty, nie tylko zdziwiłem, ale i przeraziłem się niepomału.

— Zapytałaś wprawdzie pani, czy przyjmie pana Razumowa? — rzekła panna Haldin do Anny.

— Nie, oznajmiłam go tylko — odpowiedziała Anna, zdziwiona naszym pomieszczeniem.

— Matka pani była do pewnego stopnia przygotowana — szepnąłem.

— Tak. Ale nie miałam pojęcia...

Widocznem było, że postępowanie Razumowa wydawało się jej dziwnem i poniekąd nietaktownem. W odpowiedzi na jej dalsze pytania Anna rzekła, że „der Herr“ przyszedł za ledwie przed kwadrans; poczem oddaliła się z miną trochę wystraszoną.

Panna Haldin patrzyła na mnie w milczeniu.

— Skoro tak się stało — rzekłem — pani wie przecież dokładnie, co przyjaciel brata pani może mieć do powiedzenia mamie. I zapewne potem...

— Tak — rzekła Natalja Haldin zwolna. — Myślę tylko, że skoro przyszedł podczas mojej nieobecności, to może lepiej będzie nie przerywać im.

Zamilkliśmy oboje, bezwiednie nateżając słuch, ale żaden szmer nie doszedł nas z po za zamkniętych drzwi. Panną Haldin stała jakby nie pewna, co ma czynić; gdy wtem dały się słyszeć kroki męskie, drzwi od saloniku otworzyły się i Razumow wyszedł do przedpokoju. Był tak zmieniony, że za ledwie go poznałem. Wydawał się przytomniejszym; ale było coś świadomie złego w wyrazie jego posępnych oczu i trupio bladej twarzy.

Mówię o tem, bo oczy te padły przedewszystkiem na mnie. Kierował się ku wyjściu, jak gdyby nie wi-

dząc nikogo, lecz panną Haldin zastąpiła mu drogę.

— To pani, Nataljo Wiktorówno — rzekł, nie biorąc podawanej sobie ręki. — Może dziwi to panią, że... o tak późnioniej porze. Ale, widzi pani, przypomniałem sobie nasze rozmowy w ogrodzie... Wydało mi się, że pani życzyła sobie, bym był bez straty czasu... Więc przyszedłem... poprostu by powiedzieć...

Mówił z trudnością, jak człowiek, który się dusi. Oczy miał spuszczone i pochyloną głowę.

— Powiedzieć o czem sam dowiedziałem się dopiero dzisiaj... dopiero dzisiaj.

Przez drzwi, których nie zamknął, widać było salonik, znajdujący się w półcieniu przysłoniętej umbrellką lampy, a w głębi nieruchomą, lekko ku przodowi podaną postać pani Haldin z ręką na poręczy fotelu opartą. Jej siwa głowa, zwieszona była na piersi. Cały układ tej postaci nie wyrażał już oczekiwania; przeciwnie, zdawać się mogło, iż ta niepokieszona matka patrzy na coś, jakby na ukochaną, na jej łonie spoczywającą głowę.

Panna Haldin podeszła ku drzwiom i po chwilę wahania zamknęła je. Myślałem zrazu, że pójdzie do matki, ale poprzestała na rzuceniu na nią niespokojnego spojrzenia.

Przez ten czas Razumow stał, patrząc w ziemię. Myśl, że będzie musiał powtarzać znów to, co już powiedział, była mu po prostu nie do zniesienia. Spodziewał się zastać oboje kobiety razem. A potem skończył już z niemi — raz na zawsze.

— Całe szczęście, że nie wierzę w pozagrobowy świat — pomyślał cynicznie.

Znalazłszy się w swoim pokoju po wrzuceniu do skrzynki pocztowej tajnego listu, zasiadł do pisania w swym również tajnym dzienniku i to go trochę uspokoiło. Wiedział doskonale, że takie powierzanie najskrytszych myśli i czynów popierowi było rzeczą wysoce niebezpieczną, nie mógł jednak powstrzymać się od tego.

To pisanie sprawiało mu ulęgodziło poniekąd z życiem. Siadł więc i pisał przy świecy, aż przyszło mu na myśl, że usłyszawszy ową wersję o aresztowaniu Haldina z ust Zofij Antonownej, powinien powtórzyć ją tym paniom.

Z pewnością dowiedzą się o tem z jakiego innego źródła, a wtenczas jego przemilczenie może się wydawać dziwnem, nie tylko matce i siostrze Haldina, ale i innym także. Doszedłszy do takiego wniosku, posta-

nowił załatwić się z tem jak najprędzej. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze za późno.

Te piętnaście minut, jakie spędził z panią Haldin, były dlań jakby zemstą losu. Ta blada twarz, ten słaby, wyraźny głos, ta głowa — zrazu gorączkowo miał ku niemu zwrócona, a po chwili opadająca znów na piersi i nieruchoma, ten mroczny, cichy pokój, w którym słowa jego, choć starał się mówić stłumionym głosem, dźwięczały tak dobitnie, wszystko to wstrząsnęło nim, jakby jakieś nadzwyczajne odkrycie. Było coś tak groźnie upartego w tym bólu, coś, czego nie mógł zrozumieć, czego się nie spodziewał. Czy to coś było mu wrogiem? Nie wiedział i nie dbał o to. Nic mu już teraz szkodzić nie mogło; na jego przeszłości nie było najbliższego cienia. Widmo Haldina pozostało za nim beżsilne na zaśnieżonym bruku. A tu zjawił się duch matki, trawionej bólem i bladej jak widmo. Jakieś litosne zdumienie ogarnęło Razumowem.

Ale wnet pomyślał z pewnością surową bezwzględnością: „I cóż stąd? A ja, to na różach spoczywam?“

I siedział w pewnej odległości od tego upostaciowania milczącego bólu. Powiedział, co miał do powiedzenia, a gdy skończył, stara kobieta nie wymówiła ani jednego słowa. Trwało to jakieś pięć minut, lub więcej. Cóż to mogło znaczyć? I zaczął go zdejmować gniew, ten sam dawny gniew na Haldina, rozbudzony widokiem jego matki. Tylko teraz dołączyło się do tego coś w rodzaju zazdrości. Czyż on tylko jeden pozbawiony był tego przywileju, który służył wszystkim innym ludziom? Oto tamten zszedł ze świata, a przecież żył w przywiązaniu tej bolejącej kobiety; w pamięci tych wszystkich wrzekomych miłośników ludzkości. Niepodobnięstwem było pozbyć się go.

— Nie jego, lecz siebie wydałem na zgubę — pomyślał Razumow. — Zmusił mnie do tego. Nie mogę się od niego uwolnić!

Przestraszony tem odkryciem wstał, wyszedł z tego milczącego, mrocznego pokoju z tą pochyloną staruszką w fotelu, z tą matką. Nie obejrzał się po za siebie. Po prostu uciekł. Ale otworzywszy drzwi, przekonał się, że ma odcięty odwrot. Zastąpiła mu drogę siostra. Nie zapomniał o niej, tylko nie spodziewał się zobaczyć jej teraz — może już nawet nigdy więcej. Jej obecność w przedpokoju zaskoczyła go zupełnie tak samo, jak ukazanie się brata. Razumow aż się zatrząsł z wrażenia.

„Pędzą drabantów czułe strażę,
Idzie z toporem kat,
Na rusztowaniu stanął rad.
By piosnkę ściął i spalił. —
Lecz nim wybiła na zegarze
Godzina kaźni jej,
Od lekkiej, drwiącej piosnki tej
Królewski tron się zwałił!...

Pieśni Artura Oppmana zawarte w tomie obecnym nie dorzucają tonów nowych do jego twórczości. Uszlachetniły za to i podniosły wyraz swój wewnętrzny do tego stopnia, że stały się specyficznym, właściwym jemu tylko tonem poetyckim w liryce polskiej.

Nie należy ich porównywać, ani też mierzyć kanonem jakiegoś innego liryka. Są miarą same dla siebie.

Krasę Starego-Miasta śpiewał i Gomulicki, wspomnieniom żołnierskim korny hołd składa Zdzisław Dębicki — ale ton Or-Ot'a jest tylko jemu właściwy i tylko przez niego mówi krystaliczną czystością inwencji poetyckiej. Potrąca przytem zawsze w takie struny uczuciowości, że budzi natychmiastowy, łatwy odzew.

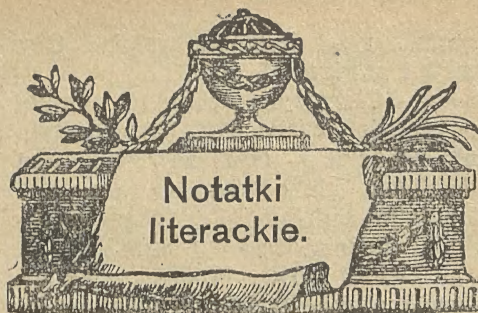
Pieśni jego o „Sławie“ są trwałym nabytkiem polskiej liryki. Stana się napewno niezadługo popularne, gdyż skalą ich tonu jednako przemówi do serc wszystkich. Śpiewa on przytem o sławie szlacheckiej. Buduje pomniki chwały księciu Józefowi, kłania się „sztandarom polskim“.

„Pieśni o sławie“ Artura Oppmana ukochały wspomnienie i przyobiekły je w purpurę jarzębinową krwi serdecznej. I zawołały:

„Polsko! żadnego nie przeklinaj
z synów,
Ani zapomnij z dzieci swych nikogo!
Dla kainowych miej pogardę czynów,
Ale każdemu pozwól iść swą drogą,
Choć z różnych ścieżek, zjeżdża się
na końcu,
By oddać pokłon wschodzącemu
słońcu.
Gdy się na błękit wytoczy!”

Słowa te włożył Oppman w usta Masachowskiego. Powinny się stać one korną modlitwą i wiernym hasłem dla nas wszystkich. Albowiem wychowawcze ich piękno zniewala i kochać każe wszystkich. Stygmat to najwyższy przecież, stygmat miłości.

„Pieśni o sławie“ Or-Ot'a niech zawitają we wszystkie polskie progi, jak miłe radosne wici. Niech potrąca o te struny wspomnień, gdy jedyną marzycielką i karmicielką dziecięcej wyobraźni była Sława zamierzehła dalekich rycerzy, a o sławie tej wieść radosną szczepiła matka-wychowawczyni.
Eustachy Czekalski.



Axel i Bunt.

„Dwie perły twórczości francuskiej przyswojono znów mowie polskiej. Miriam przełożył poemat dramatyczny w czterech częściach hr. de Villiers de l'Isle Adama p. t. „Axel“ oraz dramat w jednym akcie p. t. „Bunt“. Obydwie te rzeczy zjawiły się w wydawnictwie „Muz“ Jana Lorentowicza i ozdobione są reprodukcją nieznanego portretu poety z lat młodzieńczych. Dodano też podobiznę na łożu śmiertelnym i autograf hr. de Villiers de l'Isle Adama.

Axel składa się z czterech części. Zawiera: świat zakonny, świat tragiczny, świat tajemny i świat namiętności. Poemat ten nacechowany jest niezwykłą śmiałością wlotu intelektualnego. Przeprowadza człowieka przez piekło dociekań, daje pełne kielichy czarów myśli, odurza śmiałością i bezwzględnością widzenia, a choć w rezultacie pozostawia, jako cały plon swego pięknego trudu, cykute — warto jest czytać go i wzytywać się w nurt chybkiej, żywotnej, francuskiej fantazji.

Axel posiada zresztę ustaloną reputację w literaturze powszechnej. Należy do podstawowych dzieł, z którymi każde pokolenie zaznajomić się musi.

O swoim „Buncie“ we wstępie pełnym wyrafinowanej ironii i ostrego sarkazmu mówi hr. de Villiers de l'Isle Adama:

„Znalazły się osoby, które raczyły się dowiadywać, czego chciałem „w tem dowieść“. Tym duszom zaniepokojonym odpowiem, że pragnąłem poprostu odmalować w „Buncie“ smutne położenie człowieka ze wszechmiar szanownego, który stał się ofiarą kobiety egzaltowanej; że scena niema jest „niedoświadczeniem“, z którego się poprawie w mych następnych dramatach“...

Wydawnictwo „Axela i Buntu“ powinno cieszyć się szeroką poczytnością. Biblioteki publiczne napewno dzieła te zakatalogują w swych zbiorach.

Dana od Boga.

Zjawiła się w wydaniu książkowym interesująca powieść angielska Hall Cain'a „Dana od Boga“, którą w roku ubiegłym drukował „Świat“ w swoim dodatku beletrystycznym. Wzbudziła już wtedy duże zaciekawienie. Nic w tym dziwnego, gdyż w ojczyźnie swojej osiągnęła kilkadziesiąt wydań. Na język polski powieść tę przetłumaczyła p. Helena Pajzderska-Hajota.

Walkowe kochanie.

Tom ciekawych nowel wydał p. Edmund Zechenter. Najciekawsze utwory dotyczą życia chłopskiego. Autor potrafi tego rodzaju rzeczom nadać swoją barwę lokalną, ładnie też stylizuje gwarę chłopską. Utwory zaś oparte o świat obserwacji psychologicznej na tłach życia inteligentnego środowiska są wiotkie w wyrazie, choć też chwilami przemawiają miękkim liryzmem. Próba dramatyczna jednak jest scenicznie zupełnie chybiona.

Geografja Szkolna.

W nowym wydaniu ukazała się świeżo Geografja Szkolna Anny Nałkowskiej. Podręcznik ten, uzupełniony i doprowadzony przez autorkę do dzisiejszego stanu wiedzy geograficznej, zdobią liczne ryciny, szematy i mapy. Zwięzłość wykładu i naukowa ścisłość w połączeniu z darem popularyzatorskim czynią z książki tej cenny nabytek dla szkół średnich.

Listy nadesłane do Redakcji.

W sprawie Marji Leszczyńskiej.

Szanowny Panie Redaktorze!

W życzliwej recenzji p. E. Czekalskiego o moim dramacie znajdują się pewne niejasne punkty, które nie powinny być ustalone w opinii publicznej i być ujemnie zrozumiane przez ogół.

A więc najpierw marzenie Marji Leszczyńskiej, aby jej drugi synek, książę d'Anjou, zasiadł na tronie polskim, nie jest moim domysłem, lecz jest *faktem historycznym*. W tej dziedzinie fantazja nie może bezkarnie zbyt igrać.

Również z recenzji p. E. C. mógłby kto wnosić, że dwór francuski w mojem przedstawieniu to banda klnących ordynarnie drapichrustów. Tymczasem w całej sztuce jest tylko *jedna scena*, gdzie dwór klnie... ale *najwyraźniej dla zabawy, dla sensacji... co było modnym wówczas wybrykiem!*

Wreszcie pisanie dramatu „według dobrych recept francuskich“ jest dla mnie rzeczą niedostępną, bo takich recept nie znam, kompozycji zaś poświęcam zawsze wielką uwagę i staranność.

Z prawdziwym szacunkiem

T. Konczyński.

P. S. Sądząc z wyżej zamieszczonego listu p. T. Konczyńskiego, należy przypuszczać, że autor „Marji Leszczyńskiej“ czytał artykuł mój z dużym roz-targnieniem. Pocóż by bowiem prostował cytate z... własnego wstępu do „Marji Leszczyńskiej?!“ Inne samochwalcze uwagi pozostawiam bez odpowiedzi.

Eust. Czekalski.

